

FRAGMENT:

„Myślałam o tym, czy aby nie wziąć sobie kogoś do wywiadu rzeki, bo to teraz modne, ale nikt nie zna mojego życia tak jak ja, nie mówiąc o tajemnicach, które znam tylko ja. Wywiad ze mną mogłaby zrobić Agnieszka Osiecka, moja przyjaciółka – zasługiwałam na jej inteligencję, a ona na moją szczerość. Teraz nawet nie jestem w stanie przewidzieć, o co by mnie zapytała. Chyba nie o to, co interesuje dzisiejszych czytelników wywiadów rzek. Nasze rozmowy były rozkosznie dziwaczne i nigdy nie było wiadomo, gdzie wylądujemy. Nic nas nie obchodziło poza byciem razem oraz wspólnym obserwowaniem i komentowaniem na bieżąco ludzi i świata. Czasami mam o sobie bardzo dobre zdanie, a czasem reakcja ludzi sprawia, że zaczynam się zastanawiać, co jest ze mną nie tak. A jest ewidentnie, bo niektóre trochę mniej lotne osoby czują się nieraz atakowane, a ja, nie mając złych intencji, obrażam kogoś i tracę znajomego. Uważam, że zawsze tak miałam, ale kiedyś byliśmy młodszy, bardziej elastyczni i wesele. Starość to wykrzywiony pysk tonącego kota. No i kompletna nieprzemakalność. Do tego jeszcze mi daleko, choć noszę okulary do czytania. Bardzo mnie to złości, bo przede wszystkim składam się z oczu. Denerwują mnie te durne okulary, które ciągle znikają. Raz mam pięć par w różnych miejscach, a raz ani jednej, nawet w torebce. Powinny być na łańcuchach, jak łyżki w Misiu.”

(...)

Od kiedy jesteś singielką?

Chyba od urodzenia. Bycie singlem to stan ducha. Są osoby, które nie potrafią być same. Muszą się ciągle

odbijać w cudzych oczach. One nie mogą być singlami. Przechodzą z jednego toksycznego związku w inny, jeszcze bardziej nieudany, po drodze robiąc lub rodząc kolejne dzieci. Są ludzie, którzy rodzą się singlami, tak jak inni gejami. To natura, więc nie ma co udawać, że się chce, żeby ktoś kręcił się po domu i zabierał pół łóżka. Bycie singlem w naszym prude ryjnym, nudnym zaścianku to akt odwagi; szczególnie samotne kobiety wzbudzają współczucie, że nikt ich nie chce, tymczasem prawda może wyglądać zupełnie inaczej. Agnieszka Osiecka, mimo że miała męża i dziecko, mieszkała u matki i była rasową singielką. Zawsze znajdowała czas na coś fajnego i nie zwracała nam... nosa swoimi sprawami. Ja podczas naszej siedemnastoletniej przyjaźni miewałam mężów, ale to nie zakłócało naszych podróży i spędzania czasu razem. Ciekawe, że nikt się na to nie krzywił i uznawane to było za normalne. Chyba wtedy jeszcze nie byliśmy społecznością plemienną i można było woleć kolegę od ojca oraz oddawać dziecko dziadkom na wychowanie. Ja jestem wychowana przez mamę mojej mamy pod zachwyconym okiem dziadka. Na nic bym tego nie zamieniła. Agnieszka napisała kiedyś cudny tekst o tym, że człowiek marnuje życie z niekochanym partnerem, bo liczy na to, że ten poda mu szklankę wody na łożu śmierci, a bywa przeważnie odwrotnie.

(...)

Kim była dla ciebie Agnieszka Osiecka, a kim ty byłaś dla niej?

Zastanawialiśmy się nad tym z Agnieszką. Nasza relacja była nietypowa. Czasami toczyłyśmy poważne rozmowy, które zwykle kończyły się jakimś niepoważnym żartem; Agnieszka mówiła, że za dużo

żartujemy. Miała o to pretensje do mnie i naszych najbliższych znajomych. Twierdziła, że nie wszystko można i powinno się obracać w żart. Nie myślała o tym, że jesteśmy o generację młodszy i chce nam się fikać. Agnieszka była dla mnie oczywistym dowodem na istnienie sił wyższych. Spotkałyśmy się nagle i nagle ze sobą zostałyśmy. Po zastanowieniu stwierdziłyśmy, że jestem dla Agnieszki mężem. Było to w Dębkach, wtedy kultowym kurorciku. Kupiłyśmy sobie piwo i postanowiłyśmy wypić od razu na miejscu pod sklepem. Była brudna, mała ławeczka i pieńek, z którego ukradziono stolikowy blat. Za sklepem znalazłyśmy kawałek płyty piłśniowej, pasował jak ulał. Miałyśmy kawiarenkę, co nas bardzo bawiło. Ludzie otwierali paszcze ze zdumienia, bo nędza naszej kawiarenki była spektakularna. Dębki, upał, piwo, piach – i my z naszą poważną rozmową. Właśnie w takich okolicznościach zastanawialiśmy się, kim dla siebie jesteśmy. Wtedy postanowiłyśmy wziąć ślub przy najbliższej okazji.

(...)

Opowiedz, jak to wygląda w praktyce. Przychodzi model do malarza i...

Zdaje mi się, że w ogóle nie lubię rozmawiać o mojej pracy. Hemingway mówił, że trzeba opowiadać o tym, co się pisze, i sprawdzać reakcje. Z malowaniem jest inaczej, należy pytać, a jeśli już, to lepszych od siebie zawo dowców. Z modelem umawia reprezentująca mnie galeria Ka tarzyny Napiórkowskiej albo model/modelka dzwoni do mnie, zaanonsonowany przez wspólnych znajomych. Pytam, jak wygląda, ile waży, ile ma lat i zapraszam go z walizką ubrań, apaszek, szali i kapeluszy. Musi wyglądać, jakby szedł na randkę albo na sylwestra. Nie lubię

nijakości. Jest niemalarska. Wybieramy strój i kolor tła. Najbardziej lubię rysować na czarnym tle. Mieszczuchom pozwalam być na beżowym. Zwykle proszę o zdjęcie pokoju, w którym obraz będzie wisiał. O ile modelka jest zgrabna, pozuje na stojąco i musi być na obcasach, bo wtedy inaczej wygląda sylwetka. Panie, które wolą siedzieć, też muszą mieć szpilki – but bardzo wpływa na nasze samopoczucie, a więc i wyraz twarzy. Model dostaje kawę, a ja na zupełnie pustym papierze rysuję prawą brew i oko oraz linię włosów (łysych nie rysuję, muszą mieć kapelusze). Potem przy drugim oku łapię podobieństwo. Rysuję miękkim węglem drzewnym wypalonym na Ukrainie i specjalnymi grubymi pastelami z Nowego Jorku. Po półgodzinie jestem umazana jak kominiarz, ale mało kto mi to mówi. Model nie może się wiercić. Najlepiej pozują aktorki. Po prostu grają modelkę. Reszta gada o sobie – po godzinie jestem umęczona czymś życiem, wtedy proszę o milczenie i zaczynam rysować usta. To najtrudniejsze w portrecie. Franek Starowieyski twierdził, że maluję usta najpiękniej ze wszystkich malarzy. Mam to na filmie TVP – Hanna Bakuła – Firma Portretowa. Oczy są zwierciadłem duszy, a usta pokazują resztę. Rysuję zwykle około czterech godzin. Ubrania i tło zaznaczam na początku, a daję im kolor i różne szalone refleksy na końcu. Nigdy nikt nie zgłaszał zażaleń, zawsze zachwyty. Udaje mi się pokazać to, o czym nawet model nie wie. I zawsze jest to coś ładnego.

(...)

Jesteś w stanie powiedzieć, ile zrobiłaś portretów?

Absolutnie nie. Ponad tysiąc na pewno. Zaczęłam w pierwszej klasie, gdy miałam siedem lat, od por-

tretu nauczycielki. Była ekstremalnie brzydka, a ja zawsze byłam bardzo wyczulona na urodę. Kazała nam narysować siebie i pokolorować obrazek. Dzieci rysowały jakieś królewny albo nimfy, że to niby pani Maruszek, a ja od razu wyłapałam wielki nos, wąskie usta, zmarszczki i kołtun na głowie. Następnego dnia musiałam przyjść do szkoły z babcią, która na widok rysunku zaczęła nieuprzejmie chichotać. Miałam u pani przechlapane.

Możesz wymienić kilka znanych osób, które ci pozowały?

Robiłam portrety między innymi Kory, Agnieszki Osieckiej, Daniela Olbrychskiego, Beaty Tyszkiewicz, Niny Terentiew, Małgosi Pieczyńskiej, Daniela Passenta, Agatki Passent, Waldka Dąbrowskiego, Ewy Sałackiej, Niny Andrycz, Janusza Olejniczaka, Liv Ullmann, Grace Jones i Yehudiego Menuhina. Im model mądrzejszy, tym lepiej rozumie, co się dzieje, kiedy robię portret. Że jest to przechodzenie w inny wymiar, do wieczności.

(...)

Gdy przyjechałaś do Nowego Jorku, co cię najbardziej zachwyciło?

Najpiękniejsze w Nowym Jorku jest niebo – wydaje się jakby uciekało przed drapaczami chmur. Wysokie, błękitne i czyste jak kropla wody. Amerykanie mają specjalne filtry w samochodach. Powietrze jest krystaliczne, a źródłana woda spływa skalnymi tunelami z gór Catskill. Mam teorię, że właśnie dlatego wszyscy Nowojorczyki mają piękne włosy. Drugą ciekawostką jest niewiarygodny zapach, inny o każdej porze roku. Latem to rozgrzane domy, as-

falt i drzewa. Jest jak w piecu. Ciepło dusi. Po zapachu zawsze poznałabym, że to nowojorski upał. Zimy pachną zamrażarką, bo drapacze chmur są lodowate. Wichry hulają po przecinających się regularnie ulicach. W styczniu i lutym jest bardzo dużo śniegu. Przeżyłam prawdziwą śnieżycę na Manhattanie. Partery domów były całkowicie zasypane. Mieszkałam na pierwszym piętrze i na wysokości okien miałam narciarzy na biegówkach. Nowy Jork oszalał. Dorośli i dzieci biegali po ulicach i lepili bałwany. Japończycy na Union Square tworzyli gigantyczne rzeźby z lodu. Mój zachwyty Manhattanem jest niezmienny, mimo że dużo tam ludzi i na ulicach człowiek czuje się, jakby wchodził na mecz baseballu – ścisk stadionowy z przewagą Japończyków z wielkimi papierowymi torbami renomowanych sklepów.